

SYNOWA.

— Dlaczego mały tak krzyczy?...

Z temi słowy na ustach elegancka pani Irena Feret wpadła w kapeluszu na głowie do kuchni, gdzie stara siedemdziesięcioletnia co najmniej kobieta w czarnym czepku okulałym poorana zmarszczkami twarz stała w postawie skurczony.

— Jakto? — zawołała pani Feret — mleko sterylizuje się teraz dopiero!.. Mając wrócić o ósmej jestem tu przypadkiem o wpół do siódmej zastaję moje dziecko zgłodniałe i... Ach! Rozumiem teraz! Flaszka rozbita!

* *

— Patrz, Marceli — mówiła Irena do męża, rozbierając się tego samego dnia wie czorem — twoja matka przypaliła mi znowu kombinację... Bardzo zniedołężniała biedaczka w ostatnich czasach... Zapomina się.. Znalazłam dziś rano list, który prosiłam, żeby wrzuciła do skrzynki pocztowej przed trzema dniami.

— Pocoś obarczała ją tem? Nie mogłaś zrobić tego sama?

— Tak! Naturalnie! Zawsze jesteś po jej stronie! Ale co ważniejsza...

Umilkła, nie koczając.

— Co takiego?

— Nie! Nie powiem! Znow nie będę miała słusności.

I, nadasana, leżąc w łóżku odwróciła się plecami do męża, który dziś właśnie chciałby mieć ją tuż przy sobie i jest niespokojny przytem, co miała mu ważnego do powiedzenia.

— Ireno!

Milczenie.

— Irenko! Moja droga! Kocham bardzo moją matkę, ale jeżeli naprawdę zaszło coś ważnego, jeśli ty lub zdrowie Iwonka w grę wchodzi...

— Właśnie — odezwała się Irena, stając — zadaję sobie pytanie, czy bezpiecznie zostawić Iwonka pod opieką twojej matki teraz?

— Czyżby źle obchodziła się z nim? — spytała z niedowierzaniem.

— Tego nie przypuszczam, choć... z tymi starymi ludźmi nie można nigdy wiedzieć Iwonek denerwuje ją... Nic dziwnego zresztą... W jej wieku! Ach, gdybyś widział! Jego nóżki i boki, Marceli!... Czerwone jak ogień! Twoja matka nie zmienia mu pieluszek... Głodzi go przytem!... Dziś po południu wróciłam niespodzianie wcześniej i na schodach już słyszałam krzyk małego. Był mokry i głodny, wyobraź sobie!.. Ach, wszystkoby szło inaczej, gdyby moja mama tu była!.. Teraz, po śmierci ojca jest wolna... Ma czterdzieści osiem lat! To nie siedemdziesiąt dwa! Twoja matka nie może pracować tak ciężko! Jeżeli chcesz zachować ją dłużej przy życiu...

— Oczywiście!... Moją drogą matkę! Niechże twoja mama zamieszka z nami! Moja będzie mogła odpoczywać wówczas.

— Co? Dwie stare kobiety w domu? Zważywałeś chyba mój Marceli! Klóczyłyby się po całych dniach! Wyrwałyby sobie dziecko. Gdzie umieścić je zresztą?

— Więc.

— Trzeba oddać twoją matkę do przytulku.

Przez 4 dni p. Marceli Feret był przeciwny projektowi żony, nie mogąc pogodzić się z myślą wyprawienia matki do domu, aż piątego wreszcie wyprowadzony z równowagi bezustannymi skargami Ireny ustąpił.

— Zobaczysz, mamo — upewniał staruszkę odwołując ją w tydzień później do przytulku dla starców — że będzie ci dobrze tam! Żadnego gotowania, prania i chodzenia po sprawunki. Jak markizie wydadzą ci śniadanie, obiad i kolację gotowe. Będzie my ci odwiedzali co niedzielę. Prawda, Irenko? Przywieziemy ci pomarańcze, Będę chował feljetony dla ciebie! Staruszka nie miała, patrząc uporczywie na ulicę.

* *

Codzień Irena Feret wieszowała sobie reorganizacji w domu. Marceli był również zachwycony. Na wspomnienie N-ru 642 tylko, pod którym matka jego figurowała na liście pensjonarzy przytulku, miał nieco wyrzutów sumienia. To też myślał o tem jak najmniej. W domu szło teraz wszystko jak po masle: Iwonek był dojrzały, smacznie przyrządzony obiad podany w porę i kombinacje pani Ireny nieprzypalone. Matka pani domu, w sile wieku jeszcze kobieta, obowiązana była ponadto bębnić o godzinę wpół do ósmej rano do sypialni, by obudzić śpiące małżeństwo.

— Ha! Ha! Wstawać, dzieci!

Pewnego ranka Marceli nawpół otworzył powieki mając wrażenie, że jest bardzo późno. Rzuciwszy okiem na zegarek, zerwał się z łóżka, wołając:

— Ireno! Ireno! Twoja matka zapomniała zapukać do nas!

— Nie słyszeliśmy prawdopodobnie — zauważyła Irena, ocknąwszy się ze snu.

— Dlaczego więc nie wezwała nas na kawę?

Irena zeskoczyła na to z łóżka, narzucając pienuar, pobiegła do saloniku.

— Marceli! Marceli! Chodź prędko! — wołała za chwilę.

Wpół leżąc na brzegu składanego łóżka, matka Ireny, tknięta paraliżem była bezwładna.

W parę tygodni potem, kiedy pan Feret korzystając z niedzieli wybierał się odwiedzić matkę w przytulku. Irena odezwała się do niego:

— Możeby i ja poszła z tobą?

— Co się jej stało? — pomyślał mąż zdumiony, od roku bowiem noga Ireny nie powstała w przytulku.

— Jak sądzisz? Matka rada będzie, jeśli zabierzemy jej małego?

— Bardzo rada! — zawołał Marceli wzruszony, gdyż za każdą jego wizytą staruszka nie wspominając o synowej mówiła o Iwonku, pytała ile ma ząbków, czy chodzi i kiedy babkę odwiedzi?

— Następnym razem! — odpowiadał. Ale „następnym razem“ albo za piękna była pogoda na to — według zdania Ireny, — żeby dziecko siedziało w zamknięciu „z tymi starymi“, lub za brzydka, by wychodziło z domu.

Iwonek nie poznając babki rozkrzyczał się w niebogłose, kiedy staruszka w zachwycie nad nim zbliżyła swą pomarszczoną twarz do jego rumianego buziaczka.

— Ach! Marceli! Zabierz go do ogrodu! Zmęczy babkę! — zawołała Irena, poczem pozbywszy się badawczego wzroku męża, który daremnie łamał sobie głowę nad pytaniem, co żona zamierza, pochylała się ku staruszce i wzięła ją za rękę, mówiąc tkliwie:

— Słuchaj, matczko! Czuję się winna wobec ciebie. Jestem nerwowa widzisz, i dlatego odzywałam się do ciebie ostro czasami.

— Nie mówmy o tem... Takie dawne dzieje, córko...

— Nie powinnam była pozwolić Marcelemu, żeby cię umieszczał w przytulku... Nie raz myśląc o tobie, robiłam sobie wymówki. — Niepotrzebnie, córko. Dobrze mi tu przywykłam już.

— Wróć do nas, matczko! Nie chcę, żebyś umierała wśród obcych. Narazie będziesz miała sporo zajęcia z Iwonkiem, bo matka moja chwilowo leży chora w szpitalu, ale jak tylko wróci do zdrowia...

Staruszka otworzyła szeroko radością rozbłysłe oczy, składając jak do modlitwy drżące ręce.

O, mój Boże! O, mój Boże! — szepcza bezzębne usta, nic więcej nie zdolne powiedzieć ze wzruszenia.

— Marceli! — zawołała Irena do podchodzącego męża, twoja matka wraca do nas. Jakże się cieszę!

— Doskonale! — odparł pan Feret, zrozumiawszy nareszcie do czego żona dążyła.

— Z rana — pouczała Irena staruszkę w taksówce, którą wiozła z mężem matkę z przytulku do domu — Iwonek dostaje kleik owsiany. O kwadrans drogi od nas jest sklep z mącznymi artykułami, pokażę mamie... Zmieniliśmy rzeźnika, poprzedni bowiem oszukiwał na wadze. Nie zwracałaś na to uwagi, matko... Obecny jest dalej niecu... Ale, idąc na spacer z Iwonkiem...

— Zostawiam cię, mamo — rzuciła śpiesznie, kiedy auto stanęło przed domem — bo mam uczeniec obok. Znajdziesz jarzyny do rosółu na stole kuchennym. Jest również szpinak do przyrządzenia. Nie przesól go matko. Miałaś zawsze ciężką rękę. Uważaj, żeby zupa nie przywarła do rondla. — Zdarzało ci się nieraz przypalić ją.

Odchodząc, dodała jeszcze:

— Ale! Ale! Bielizna do prania leży w balji. Jeżeli będziesz miała czas, oczywiście... Tylko bez szczołki, bardzo proszę! Miałaś matko manję posługiwać się nią... Dowidzenia!

Pobiegła lekka jak piórko! Marceli wśladał za nią!

„Czcij ojca twego i matkę twoją...“

Tłum. Jotsaw.



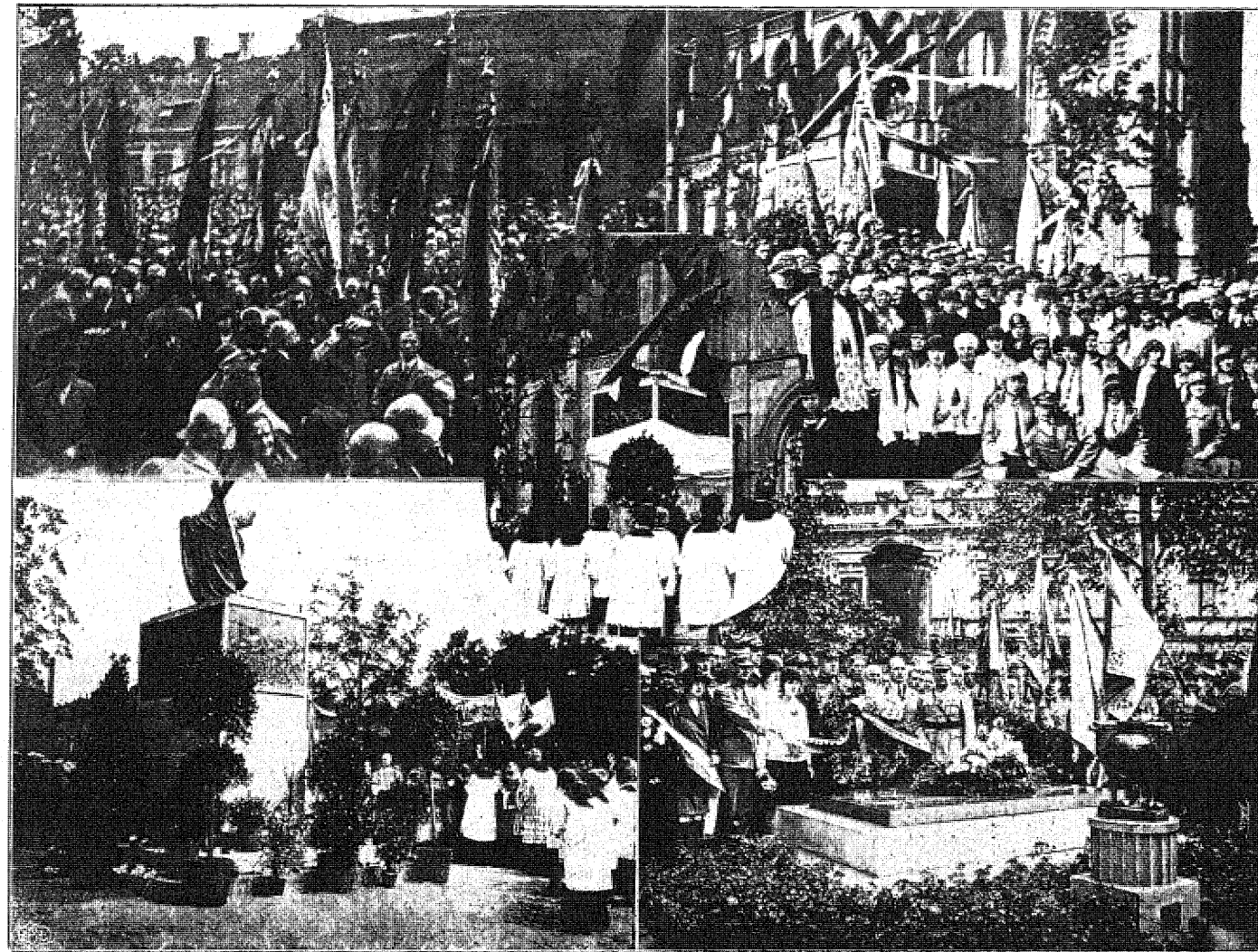
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Niedziela, 24 sierpnia 1930 roku.

Nr. 35.

W rocznicę zwycięstwa.



15 sierpnia cała Polska święciła dziesiątą rocznicę odparcia najazdu bolszewickiego. W Łodzi obchód ten połączony był z uroczystym odsłonięciem pomnika ku czci bohaterskiego kapłana, ks. Ignacego Skorupki, poległego pod Warszawą w r. 1920. Na zdjęciu widzimy pośrodku pomnik w momencie odsłonięcia, u góry na lewo nieprzeliczone tłumy, biorące udział w podniosłym święcie, na prawo delegację 22 kół prowincjonalnych Związku Młodzieży Polskiej, specjalnie na tę uroczystość przybyłe do Łodzi. Fotografje dalsze przedstawiają nowy pomnik z drugiej strony oraz moment składania wieńców na płycie Nieznanego Żołnierza przez organizacje b. wojskowych.

Fot. A. Meyer, tel. 108-81.

TEATRALJA.

Premjery warszawskie. — Co to jest sława?
Z teatrów berlińskich. — Drobiazgi z za-
kulis.

Sierpień — to nawet dla teatrów warszawskich okres wakacyjny - wegetacyjny dlatego też kronika teatralnego życia stołecznego nie notuje nigdy w tym miesiącu jakichś poważniejszych wydarzeń. Nie należy do nich z pewnością również wystawienie w Teatrze Letnim granej niedawno w Łodzi, błahej choć śmiesznej komedji Verneuil'a p. t. „Egzotyczna kuzynka”, opartej na starym podkładzie małżeńskiego trójkąta, ściślej mówiąc — nawet dwóch trójkątów. „Egzotyczna kuzynka” posiada pewną rzecz, cenną ze scenicznego punktu widzenia, mianowicie — dobrze podpatrzoną i jeszcze lepiej postawioną figurę owego groteskowego męża zdradzonego — Burela, którego w Warszawie z rzadką siłą komizmu interpretuje p. Orwid. Z pozostałych wykonawców interesująco zagrał „egzotyczną” Sonię p. Gella, utrzymując się w granicach dobrej kultury aktorskiej i niezapuszonego smaku.

Nad zagadnieniem, co to jest sława i jak ją osiągnąć, głowili się filozofowie, artyści, pisarze, dochodząc do różnych wniosków, najczęściej do takich, które dla zainteresowanego były najbardziej dogodnie. Faktem jest jednak niezaprzeczalnym, po wielokroć przez historję potwierdzanym, że sława, pamięć u potomnych, rozgłos i znakomite imię na kartach historii są to w dużej mierze rzeczy przypadku, który — jak wiadomo — jest „najwspanialszym reżyserem” — i w danym względzie również. Bardzo pouczającą na ten temat historję opowiada w jednym z czasopism francuskich p. A. Viens t. a historia ta jest tem, ciekawsza, że dotyczy właśnie jednego z najslawniejszych w świecie ludzi — Szekspira. Jak wywodzi p. Viens, bardzo niewiele brakowało, by pamięć o genialnym autorze „Hamleta” trwała bardzo niedługo, bodaj tak tylko, ile trwało jego życie. Po sukcesach, które Szekspir odnosił za życia na deskach scenicznych głównie jako aktor, był on przez dwieście lat w Anglii prawie nieznamy. — Grywano wprawdzie tu i owdzie sztuki Szekspira, ale zazwyczaj „poprawiane” lub przerabiane i podpisywane nazwiskami tych mało odpowiednich przerabiaczy. Tak np. Totes przerobił „Króla Leara”, „Wiele ha-lasu o nic” przerobili Darentant i James Miller. Inne utwory Szekspira przekształcają i przeinaczają dowolnie Dursey, Marsh, Hawkins, John Tommis, Sheridan, Shandwell, James Love, Cumberland, Hull i in. Jeden tylko Garrick, znakomity aktor angielski, przerabiane przez siebie utwory Szekspira, podpisywał jego nazwiskiem. Ten właśnie Garrick przyczynił się w wysokim stopniu do późniejszej sławy Szekspira. Grał on główne role w dwudziestu kilku dramatach Szekspira, a że wyjeżdżał również na gościnne występy zagranicę, więc w połowie 18 w. imię Szekspira poczęło się stawać głośnie i poza granicami jego ojczyzny.

Ale chociaż twórczość Szekspira pozna-
wano coraz szerzej, nie znaczyło to

przecież, że spotykała się ona wszędzie z zachwytem i uwielbieniem. Wysuwano przeciwko twórcy „Otella” najrozmaitsze często pod względem formalnym słuszne zarzuty, a jeszcze w r. 1864 w poczytnym angielskim dzienniku „Daily Telegraph” pisał ieljetonista napisał z ironją, że w wielu miejscowościach oświeconej Anglii sławniejszą osobistością, niżli Szekspir, jest p. Caleraft, który był podówczas... katem. — Dzisiaj wprawdzie tego rodzaju zestawień nikt czynić nie ośmieli się, nazwisko Szekspira jest wszystkim i wszędzie znane, nie sądzić jednak, opierając się choćby na wyżej wspomnianych faktach i okolicznościach że sławę jedynie geniuszowi swemu miał Szekspir do zawdzięczenia. Trzeba było bowiem na ugruntowanie tej sławy bardzo długich lat pracy i wysiłków entuzjastów i popularyzatorów dzieł Szekspira, długich lat działalności różnych kół i towarzystw szekspirowskich, propagujących słowem i czynem kult jego wielkiej twórczości. Oto jak wyglądają kulisy sławy, która nigdy, nawet na zakęcie ducha Szekspira nie przychodzi dobrowolnie i bez oporu.

Zarząd berlińskich scen ludowych powziął uchwałę zawieszając w czynnościach delegacji robotniczej t. zw. wydziału specjalnego, który prowadzi komunistyczną politykę teatralną. Delegacja artystyczna wydziału specjalnego, która jednocześnie została rozwiązana, nawołuje wszystkich członków i współpracowników teatrów ludowych do walki przeciwko ich zarządowi. Podniesione zostały również ciężkie zarzuty przeciwko obecnemu dyrektorowi K. Martinowi. Ta kampanja protestacyjna ma, jak się wydaje, na celu usunięcie Martina, i przygotowanie gruntu dla kandydatury Piscatora. Program teatrów ludowych niejednokrotnie dawał powód do występowania z zarzutami pod adresem kierownictwa. Faktem jest, że już przed rokiem członkowie socjalistycznego berlińskiego teatru podzielili się na dwa obozy. „Wydziałowi specjal-

nemu” plan repertuarowy wydał się za mało proletariacki i radykalny i to było powodem wystąpienia, które doprowadziło do walki z zarządem, a następnie do represyj ze strony tegoż. Sprawa objęcia dyrekcji teatrów ludowych będzie rozwiązana w najbliższych dniach, wątpliwe jednak, czy w myśl pragnień zwolenników Piscatora.

„Teatro Reale” w Rzymie wystawił nową operę H. Pizzetti'ego p. t. „Cudzoziemiec”. Jest to opera dwuaktowa, której libretto napisał sam kompozytor. Pizzetti jest już autorem kilku oper, jak np. „Fedra”, „Fra Gherardo” i in., i wykorzystuje przeważnie tematy klasyczne lub biblijne, z których zaczerpnął również tekst dla „Cudzoziemca”. Akcja w tej operze dzieje się w Palestynie, za czasów królewskich. „Cudzoziemiec” odniósł wielki sukces, w niemałej mierze dzięki pierwszorzędnym wykonawcom z Marią Zambon, Zanellam, Vivianim i słynnym basistą Vagham.

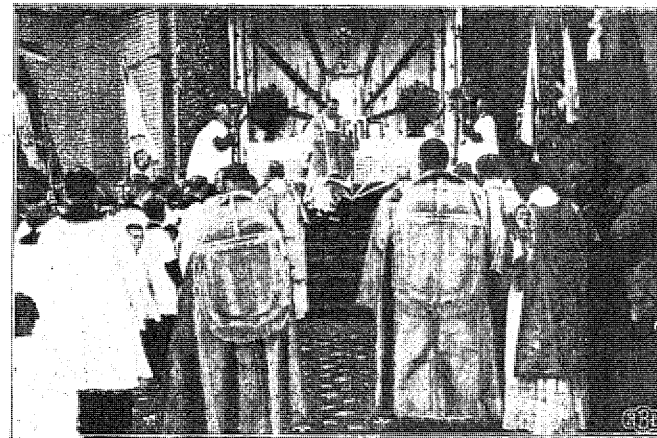
Najbogatsza i najwspanialsza opera świata, słynna nowojorska „Metropolitan Opera House”, kierowana od lat dwudziestu kilku przez Włocha, Gatti-Casazze, zamknęła niedawno sezon 1929-30. Oto ciekawa statystyka wystawionych oper: na 44 premier i wznowień było 23 oper włoskich, 11 niemieckich, 10 francuskich. Charakterystyczne, że w „Metropolitan” śpiewa się każdą operę w tym języku, w jakim została napisana. Największy sukces miała w ubiegłym sezonie Puccini'ego „Dziewczyna z Zachodu”, którą wystawiano 11 razy. Po raz pierwszy w sezonie 1929-30 wystawiono Wagnerowskiego „Parsifala” pod batutą maestra Serafina.

W Pradze Czeskiej, wystawiono niedawno nową operetkę Benatzky'ego p. t. „Trzej Muszkieterzy”, z librettem według Dumasa. Operetkę przyjęto bardzo gorąco, dzięki miłej, melodyjnej muzyce, wspaniałej wystawie i prześlicznym, stylowym kostiumom.

Delta.



Reginald Denny i Dorotha Gulliver stworzyli świetne kreacje w komedji filmowej p. t. „Wszystko z miłości”.



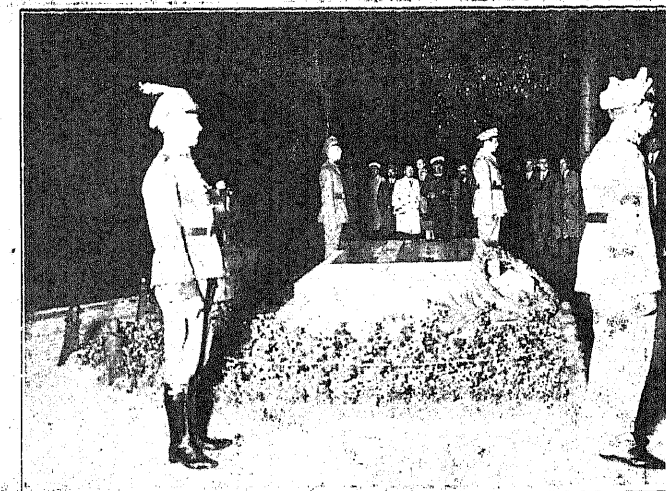
Jrozyste nabożeństwo, celebrowane w dn. 15 b. m. przez J. E. ks. biskupa dr. Tymienieckiego, przed ołtarzem polowym na cmentarzu katedralnym.



Dziesiątki delegacji z chorągiewami i tłumy wiernych w momencie poświęcenia pomnika ks. Ignacego Skorupki.



Dziatewa policyjna na kolonjach letnich w Niewieszu, pow. tu-reckiego, zorganizowanych przez zarząd okręgowy stowarzyszenia „Rodzina Policyjna” w Łodzi.



Warty, wystawicne przez organizacje b. wojskowych i „przysposobienia wojskowego przy płycie Nieznanego Żołnierza” w dn. 14 i 15 b. m.



Grupa ochotników z 1920 r., członków Zw. Majstrów Fabrycznych w czasie obchodu „Cudu nad Wisłą”.



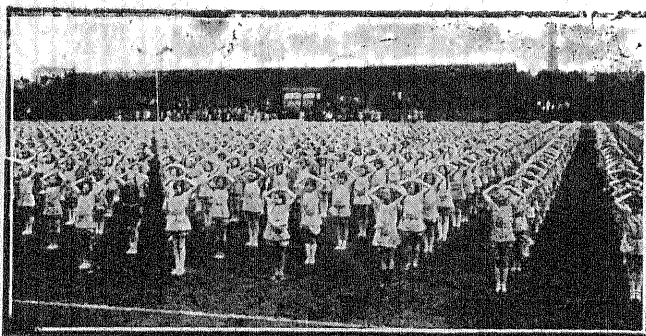
Uczestnicy międzynarodowego zjazdu gwiazdzistego motocyklistów w czasie pobytu w Łodzi.



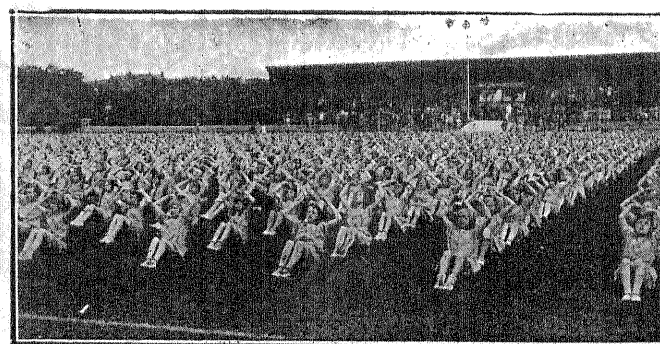
Grupa reprezentacyjnych pięściarzy polskich w obozie przed mistrzostwami Europy w Budapeszcie.



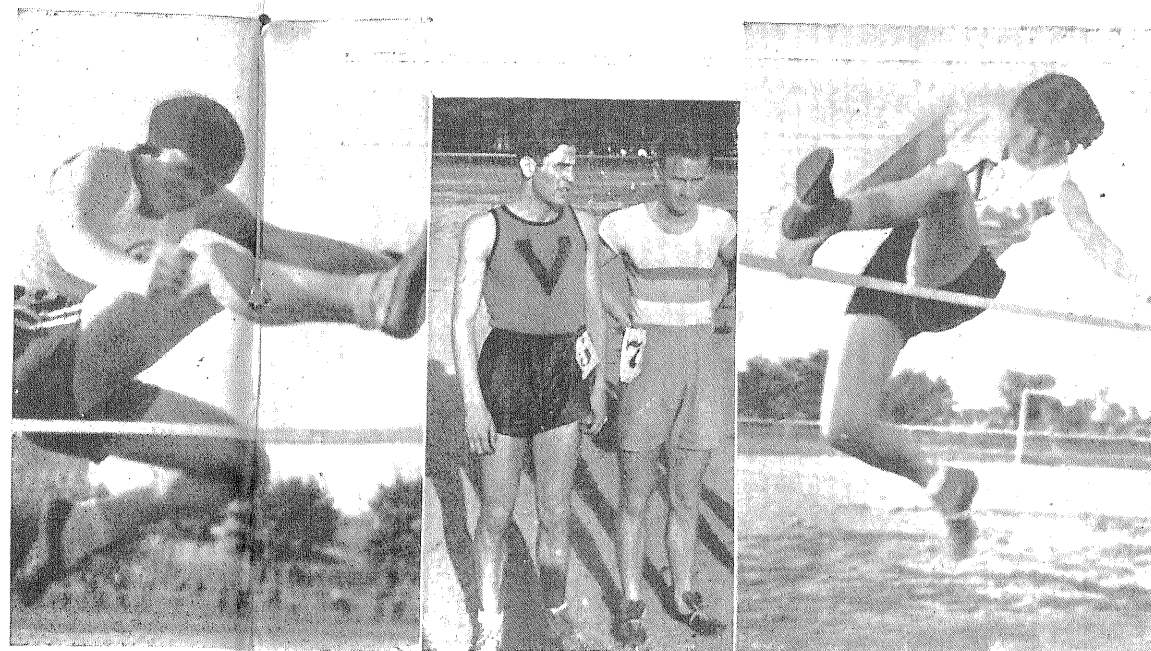
Reprezentacyjne żeńskie drużyny Polski i Szwecji, które stoczyły w Krakowie bój w koszykówkę, zakończony zwycięstwem Polski.



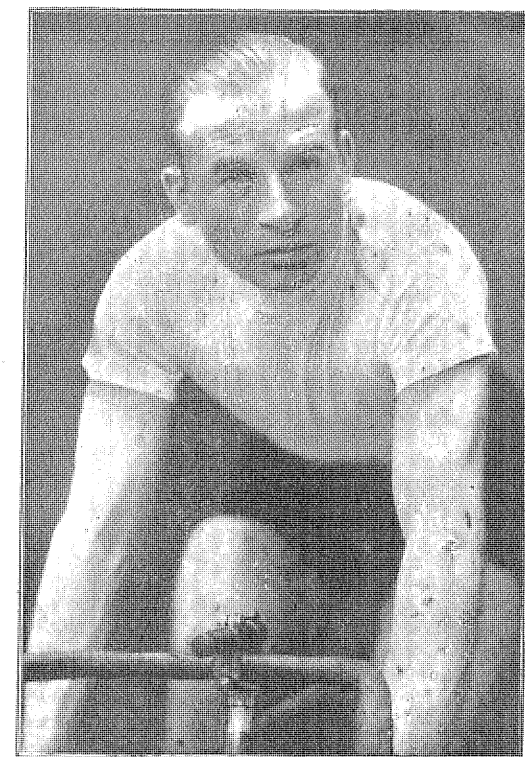
Ćwiczenia zbiorowe młodzieży szkolnej na stadionie sportowym zagranicą.



Fragment pokazu gimnastycznego sokolic zagranicą.



Najwybitniejsze sily sportowe Polski w swych ulubionych konkurencjach. Od lewej skacze Janowska (Pabjanice), w środku sprinterzy Eugei i Salt; od prawej Schabińska skacze wzwyż.



Ludwik Turowski, reprezentacyjny kolarz Polski.



Rekordzista Polski Nowak, w czasie ustanawiania najdluzszego skoku.



Narty w lecie! rzecz niemożliwa — a jednak w sporcie i tego dokonano. Na zdjęciu zawodnik - narciarz mknie na nartach po asfalcie za motocyklem na Polach Elizejskich w Paryżu.



Girardengo! Nazwisko to mówi za siebie. Oto podobizna niewzycięzonego kolarza.



Kajaktem na wodach polskich.



Chłuba hippiki polskiej, płk. Rómel.



Znakomity sprinter polski, Jan Lazarski.

Na srebrnym ekranie.



Artyści filmowi podczas pierwszego czytania scenariusza i omawiania sytuacji reżyserskich.



P. Irena Grywińska, artystka łódzkiego Teatru Miejskiego w „Artystach”. Sztuka ta przerobiona obecnie została na film, w którym główną rolę kreuje Nancy Carrol.



Znakomity reżyser i aktor teatrów poznańskich, p. Robert Boelke, brał również udział w szeregu filmów produkcji polskiej.



Scena z filmu p. t. „Romans z wamiwaczem”, w którym popisową rolę kobiecą kreuje Lina Basquette.



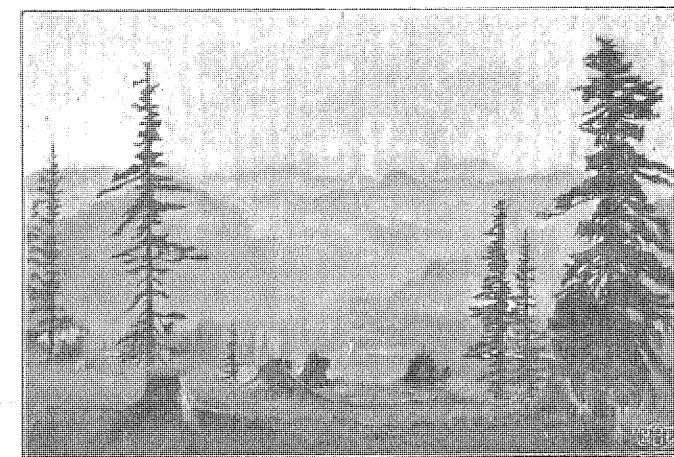
W Rudzie Skierniewickiej zorganizowany został letni obóz przysposobienia wojskowego. Na ilustracji jeden z momentów inspekcji obozu przez dowódcę D.O.K. IV, gen. Małachowskiego.



Grupa uczestników obozu, składająca się z uczniów Państw. Szkoły Włókienniczej, gimnazjów: im. Narutowicza, Prusa, Staszica, ks. Skorupki, gimnazjum zgierskiego, Państw. Szkoły Handlowej w Zgierzu i Miejskiej Szkoły Handlowej.



Grupa, w której skład wchodzi wychowankowie Miejskiego i Państwowego Semin. Nauczycielskich, Szkoły Zgrom. Kupców oraz gimnazjów: im. Piłsudskiego, Kopernika, Szwajcera Zimowskiego i gimnazjum Społecznego.



Smutnie wyglądają poręby leśne. Pustka i śmierć wieje z tych przestrzeni, które doniedawna jeszcze rozbrzmiewały poszumem potężnych drzew. Wkrótce jednak nowe rozpocznie się tu życie. Młody las, posiany na miejsce wyciętego, zacznie swój pęd ku słońcu.



Drewniany kościółek huculski za chwycą swą niezwykłą architekturą.

Szeł arteli.

— Podła robota! — mruknął Troński, wbijając silnymi uderzeniami maczugi zastrzał między dwie deski.

Robotnicy pracowali od szóstej rano, stojąc w wodzie po kostki przy zakładaniu rur ściekowych, które źle zachodziły jedno w drugie na wilgotnym piasku.

Szeł arteli idąc brzegiem podkopu zbliżył się. Był to mężczyzna małego wzrostu, łysy, nerwowiec, z osobliwymi okularami w żelaznej oprawie, podskakującymi mu za każdym krokiem na nosie.

— Troński! — zawołał pochylając się z pięściami na biodrach i rozkraczonymi nogami, by nie potknął się w łepkiem błocie.

— Patronie? — odezwał się podmajorstry pytającym tonem podniósłszy głowę do góry.

— Trzeba pójść na ulicę de la Mer, Rura pękła tam.

— Słucham, patronie.

Szeł odcinka oddalił się, przystając co chwila i nie szczędząc rad i wskazówek po drodze.

Robotnicy lubili go, gdyż nie był dumny, nie wdrażał się tracić kieliszkiem z nimi i nagradzał łatwo.

W parę minut potem znajdował się na samym dnie podkopu, gdzie ująwszy w dłoń jedną z rur wagi osiemdziesiąt kilo, którą sześciu robotników wprzęgniętych w linę przesuwało z miejsca na miejsce z trudem, spytał krótko:

— Spad jest?

Jeden z robotników skinął potakująco głową, dodając przytem:

— Dziesięć milimetrów na metrce. To dosyć chyba?

Szeł odcinka ofuknął go gniewnie, wrzuszając ramionami.

— Co wam do tego? Czy wiecie, że firma traci już trzytysięc franków w tem przedsiębiorstwie?... Że kanalizacja jest wściekle kosztowna w tym pieszczystym, napływowym terenie? Nie?... Więc dajcie mi pokój! Jazda naprzód. Spychać!

Rura zsunęła się, łącząc z poprzednią. Jeden z robotników żwawo scementował fugę (miejsce spojenia) mocnymi uderzeniami szufli.

— Dobrze — bąknął szeł i wyszedłszy z podkopu, wyostał się z brudnymi rękoma na skarpe.

— Gdybym miał — mruknął na odchodnym — wszystkich takich robotników jak Troński — jakośby robota szła. Ale z takimi „wałkoniami“ jak wy... Machnął ręką z niecierpliwością.

— Wiadomo zresztą — myślał w duchu — że muszę „wdepnąć“ zawsze tam, gdzie robota kuleje! Naturalnie! Spółka Akcyjna nie w ciemną bita! Ho! Ho!

Wyprostował się, rad w głębi duszy z opinii, jaką cieszył się w firmie. Lubił przytem swój zawód i związane z nim koczujące życie.

Pół roku tu! Pół roku tam! Wędrował wciąż z północy na południe. Od Bagnoles de l'Orne do Nicei, od Carcasonne do Cham

berry, wożąc z sobą w myśl łacińskiej sentencji:

„Omnia mea mecum porto“. Całe swe mieszczące się w dziesięciu skrzyniach nie wie wraz ze swym ukochanym fortepianem ze zniszczonego w ciągłych podróżach mahoni i o popękanych klawiszach — starym wiernym towarzyszem, na którym młócił na zawołanie Borodina czy Rossiniego co wieczora do późnej nocy by uciec przy jego dźwiękach od jednostajności dnia codziennego.

— Dziesiąta godzina! — szepnął do siebie spojrzawszy przy poprzecznej ulicy na zegarek. — Zajrzę na ulicę de la Mer do Trońskiego. Musi się tam pocić, biedaczysko!

Wtem odwrócił się szybko, usłyszawszy głos wołający go.

Dwaj żandarmi z rękoma na muszce strzelby zdażali ku niemu z pytaniem:

— Pan Legrand?

Szeł odcinka spojrzawszy z pod okularów na zbliżających się zrobił trzy kroki ku nim. Nie lubił ich mundurów. Z grymasem, który miał być uśmiechem na ustach odezwał się:

— Tak jest. Czem mogę służyć?

— Mamy rozkaz od prokuratury w Agen — oznajmił jeden ze stróżów bezpieczeństwa, wyciągając odnośny dokument z portfela — aresztowania niejakiego Trońskiego.

— Za co? — zawołał Legrand, podskoczywszy.

— Za kłusownictwo. Osądzony jest na trzy miesiące więzienia.

— Ależ to najlepszy mój robotnik! — bąknął Legrand z niezadowolaniem.

— Może być — odparł żandarm obojętnie. — My jednak mamy polecenie aresztować go. Czy wiadomo panu, gdzie go szukać?

— Proszę ze mną — rzekł Legrand zamiast odpowiedzi. Trzej mężczyźni poszli ulicą. Szeł odcinka na przodzie. Policjanci w pewnym oddaleniu od niego.

— Tędy — odezwał się Legrand gdy znaleźli się na ulicy de la Mer i ruszył dalej po grząskim błocie. Żandarmi kiwając rękoma jak wahadłem dla utrzymania równowagi szli wślad za nim, podczas gdy partja robotników mierzyła ich badawczym i niechętnym spojrzeniem.

— Troński! — zawołał szeł odcinka po chwili.

Podmajorstry podniósł głowę, kładąc trzymaną w ręku przekąskę do koszyka, z którym mały chłopczyna stał przed nim.

— Po ciebie przyszli — bąknął Legrand wskazując na dwóch żandarmów.

Troński zbliżył i wargi mu drgnęły. Przy ciągnawszy chłopca do siebie, szepnął:

— Biegnij do domu i powiedz mamusi, że aresztują mnie. Niech szykuje mi rzeczy.

Żandarmi podeszli doń.

— Jestem! — odezwał się do nich, rzucając im twarde spojrzenie. Poprawiwszy na sobie ubranie, wyskoczył na brzeg podkopu:

— Sekundę! Pozwolicie? — spytał i nie

czekając odpowiedzi, podszedł do szeła odcinka.

— Patronie!

Legrand, wściekły, zgromił go:

— Idjoto! Nie mogłeś uprzedzić mnie! Towarzystwo umorzyłoby sprawę. Skoro zabierają mi najlepsze siły, na diabła cała robota!

Nachmurzony, wyciągnął banknot pięćdziesięciofrankowy.

— Masz! To dla ciebie — mruknął, podając podmajorstrzemu.

— Patronie! — powtórzył Troński nie ruszając się z miejsca — zachowacie miejsce dla mnie, wszak prawda? Dziś po południu przyśle zastępcę.

Szeł potrząsnął przecząco głową.

— Dla małego! Zachowajcie, patronie! Przyrzeczcie! — szeptał podmajorstry, patrząc błagalnie zwierzchnikowi w oczy.

— Zgoda! Nie martw się — przystał wrzuszony.

— Dziękuję! — odparł Troński z prostotą, podając mu rękę. — Odwdzięczę się da Bóg! I zobaczysz patronie, że nie stracisz na zamianie! Dowidzenia!

— Jestem gotów! — zwrócił się do żandarmów, którzy czekali dyskretnie odwróceniem plecami — pójdziemy koło mego domu, dobrze? Chciałbym uściskać „mamusię“.

Trójka odeszła potykając się na bryłach ziemi.

Szept złowrogi rozległ się w podkopie.

— Do roboty! — huknął Legrand. Robotnicy ucichli.

Szeł zwiesiwszy głowę ruszył naprzód lecz zawróciwszy po chwili, skierował się do siebie i w pięć minut potem przy dźwiękach swego fortepianu usiłował zapomnieć o zajściu.

Okolo godziny drugiej wyszedłszy z domu podążył zgnębiony na ulicę de la Mer.

Jakież było jego zdumienie, gdy wspinając się na skarpe podkopu, ujrzał kobietę, która klęcząc na piasku kierowała robotą. Stanawszy jak wryty zaklął i rozszerzonymi oczyma patrzył. Kiedy rurę ustawiono na miejsce westchnawszy podszedł do kobiety, pytając:

— Cośote za jedni?

Zapytana wyprostowała się. Była ładna jeszcze, o wyrazistych rysach, silna i jędrna. Z falującą piersią rozpostarła zabrudzone ręce. Obrączka ślubna błysnęła na serdecznym palcu.

— Dla małego, panie Legrand — odezwała się błagalnym szepem pokazując chłopca, bawiącego się przy skarpie. — Twarz szeła odcinka wyrażała wahanie. — Kobieta wylekłym wzrokiem spoglądała nań w milczeniu. Robotnicy czekali.

Legrand przygryzł wargi, wyciągnął szyję i wykrztusił:

— No dobrze! Dobrze, panie Trońska! Trzeba będzie pójść na ulicę Marconiego poprawić taflowanie, które grozi zawaleniem. Otóż to! Powiedziawszy odszedł, nie odwracając się szybkim krokiem,

Salwa okłasków zabrzmiała za jego plecami.

Tłum. Jotsaw.



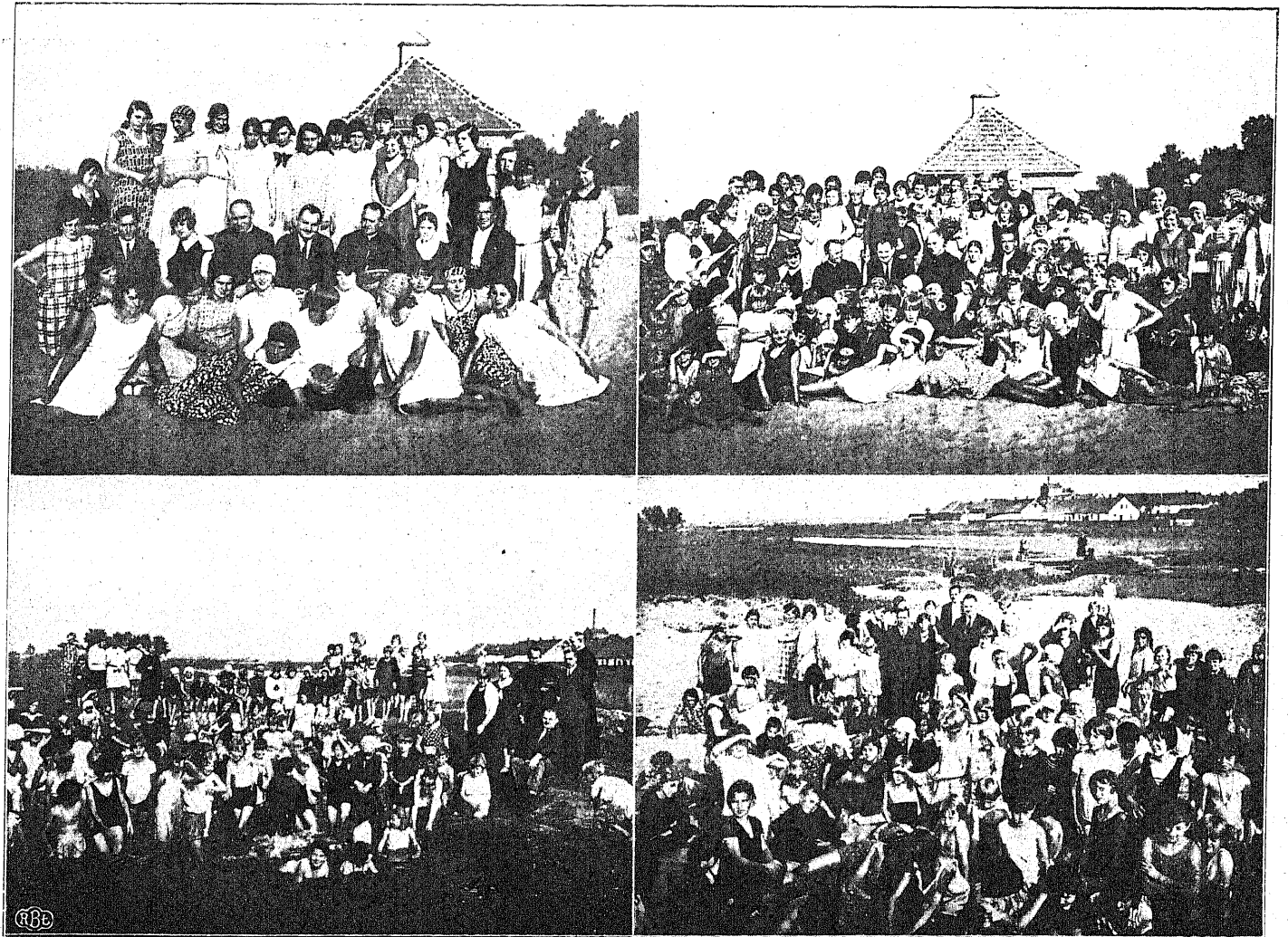
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, 31 sierpnia 1930 roku.

Nr. 36.

Na słońcu i swobodzie.



Z inicjatywy ks. biskupa dr. Tymienieckiego zorganizowana była w Dłutowie kolonia dla 400 starszych i młodszych dziewcząt z Łodzi. Dziewczęta zażywały wszelkich przyjemności, jakich wieś dostarczyć mogła, a więc słońca, kąpiele i swobody.

Na zakończenie kolonii, którą zlikwidowano 25 b. m., odbyła się mała uroczystość z udziałem gości z Łodzi ks.ks. Stypulkowskiego i Świętlińskiego oraz p. Łukasiewicza, głównego organizatora kolonii. Podczas uroczystości zgotowano gorącą owację sprężystemu kierownikowi kolonii i zarazem miejscowej szkole, p. Zdzisławowi Sosnowskiemu, który za skarbił sobie głęboką miłość i szczerą wdzięczność dzieciarni.

Fot. A. Meyer, tel. 108-81.